

# Za oknem

4 marca 2016

Kiedy dawno, dawno temu dostałem mieszkanie, nie byłem zachwycony widokiem z mojego okna. Na pierwszym planie ulica wyłożona trylinką, dalej szkoła – tysiąclatka, a za nią brzydkie, szare bloki. I tylko pogodne, słoneczne niebo przynosiło radość, a nocą wścibski księżyc zaglądał do pokoju, rozlewając swoją błękitną poświatę po nielicznych sprzętach.

Nigdy nie polubiłem smutnej, betonowej pustyni, może dlatego cieszyło mnie każde drzewko, każda kępka zieleni. Posadzenie dwóch rzędów małych kasztanowców wzdłuż bloku, przywitałem z ogromną radością. To one, z każdym rokiem coraz większe i potężniejsze, stały się wyznacznikiem pór roku. Najpierw pokrywały się zielenią liści, jesienią żółkły, szarzały, by okryć się bielą zimy. Z czasem barwy układające się w kalejdoskopie natury nabierały coraz szybszego tempa, by dojść do oszalałego pędu, nakręcając licznik przemijania. Szybko, zbyt szybko moje ulubione kasztanowce zielenią się, kwitną i wydają piękne brązowe owoce, by znowu zapaść w zimowy letarg.

Kiedyś odgłosy dobiegające zza okna nie były zbyt uciążliwe. Czasem nisko przeleciał samolot, rzadziej ulicą przemknął samochód. Pamiętam, że każdego ranka, zawsze o piątej, przejeżdżała furmanka. Miłe dla ucha kląskanie kopyt końskich o trylinkę budziło mnie i łagodnie wyprowadzało ze snu.

A samoloty? Te widzę często, gdy majestatycznie, z wyciągniętym podwoziem, podchodzą do lądowania na pobliskim Okęciu. Pas startowy zaczyna się nieco ponad trzy kilometry od mojego bloku i wspaniałe maszyny lecą już bardzo nisko. Szybko nauczyłem się rozpoznawać marki samolotów, a po jakimś czasie po odgłosie silników potrafiłem nawet odróżnić TU 134 od Boeinga. Ruskie samoloty były hałaśliwe. Podczas startu silniki wydawały trudny do zniesienia huk, zaś podchodząc do lądowania jęczały jak cała radziecka bieda.

To było równo dwadzieścia sześć lat temu, 14 marca 1980 r. W słoneczne przedpołudnie zbliżał się do lotniska Ił – 62, którego dwa, lub już tylko jeden krańcowy silnik wył przeraźliwie, a pęknięty korbowód dokonywał dzieła zniszczenia. Samolot leciał kilkaset metrów w lewo od pasa startowego. Prawdopodobnie nie miał już żadnej sterowności. Nie wiedziałem, że tam, na górze odbywa się wielki dramat. Tuż za Ursusem, na polach miejscowości Opacz, znajdowano później drobne części samolotu. W kilkanaście sekund później, kiedy zniknął za rzędem gęstych topoli rozległa się potężna detonacja. Jeszcze kilka minut potem ciszę przerwały odległe odgłosy syren samochodów ratowniczych.

Zupełnie przypadkowo znalazłem się na miejscu tragedii. To było wstrząsające. Zbyt straszne, by kiedykolwiek mogło zatrzeć się w pamięci. Kadłub samolotu oparty o nasyp starego carskiego fortu, złamany na dwie części. Przez szczelinę powstałą w wyniku pęknięcia impet uderzenia wyrzucił długi chodnik, który zawisł na potężnym drzewie i smętnie powiewał na wietrze wraz z zasłonkami, częściami garderoby i czymś trudnym do określenia. Wszędzie pełno ratowników. Jakiś śmiertelnie błady milicjant oddawał treść pokarmową. Nie on jeden. Tylko lekarze snuli się bezradnie. Nie mieli kogo ratować. Czekali ich wkrótce inna, bardziej makabryczna praca, choć przez kilka godzin nie można było doliczyć się wielu ciał. Niektóre znajdowano na posesjach domków jednorodzinnych, inne spoczywały na dnie fosy fortu zbudowanego jeszcze za cara, a ciało samego kapitana Lipowczana leżało na jezdni jednej z uliczek.

Kiedy kilka lat później, tuż nad dachami sąsiadujących z moim budynków ujrzałem ogromnego Boeinga lecącego nie wiadomo czemu z północy na południe, a więc prostopadle do pasa startowego, poczułem niepokój. Była bardzo gęsta mgła. Gdy kilka minut później pojawił się znowu, jeszcze niżej i bliżej mojego bloku – byłem przerażony. Na tej wysokości nie mogli go widzieć na radarze. Odniosłem wrażenie, że kapitan całkowicie stracił

orientację, bo samolot przechylał się to w lewo, to w prawo. Huk silników był tak potężny, że w moim oknie pękła szyba. Na szczęście pilot podciągnął maszynę wyżej i bezpiecznie wylądował we właściwym miejscu.

Za moim oknem wiele zmieniło się od tamtego tragicznego dnia. Znacznie przybyło samochodów i autobusów, które ruszając z przystanku emitują, prócz hałasu, kłęby trujących spalin. Często przemyka przeraźliwie wyjąc karetka pogotowia, lub straż pożarna zawsze przywołując tragiczne wspomnienia.

Teraz za oknem hałas jest trudny do wytrzymania. Samoloty niby są cichsze, ale czasem na Okęciu lądują jakieś olbrzymy. Kiedy podchodził do lądowania ogromny amerykański samolot transportowy typu Herkules, drżał cały blok. Podobnie się zdarza, gdy do lądowania podchodzą F-16. Zawsze dwa. Pewnie dlatego, że reszta tego złomu nie może unieść się w powietrze. Rządzący chcą pokazać warszawiakom „potęgę” naszego lotnictwa, a wywołują tylko strach, że te latające trumny spadną na głowy.

Czasem jakiś idiota nie zwalniając przed przejściem dla pieszych, pomknie ciężkim motocyklem, wytwarzając trudne do zniesienia dla ludzkiego ucha decybele. Ale najgorsze są wałęsające się bez celu bandy pijanych wyrostków. Ich nawoływania i plugawy język nie dają zasnąć czasem do rana. No cóż, przyszło nowe.

Na szczęście kasztanowce wyrosły na dorodne, piękne drzewa i tylko patrzeć, kiedy wybuchną soczystą zielenią, zasłaniając ulicę i obrzydliwe blokowiska. Już słychać śpiew skowronka i nawoływanie synogarlicy. Idzie wiosna, a z nią jakaś bliżej nieokreślona tęsknota i nadzieja.

Autorstwo: Cezary Piotr Tarkowski

Źródło: [Wolna-Polska.pl](http://Wolna-Polska.pl)